

LITERATURA I SZTUKA.

CEZARY JELLENTA.

BALLADYNA.

—o—

Jedna z najprzedziwniejszych tragedji Juliusza Słowackiego przypominała się znów ogółowi polskiemu.

Teatr Wielki po dwudziestu przeszło latach, wznowił operę Władysława Żeleńskiego „Goplana”. Jej treść jest właśnie skrótem i warjantem baśniowego dramatu, który rozgrywa się nad Gopłem, i zatytułowany został przez poetę: „Balladyna”.

Ze strony niedawno zmarłego, a tak znakomitego kompozytora, był to wybór libretta, zdumiewająco trafny i artystyczny. Udramatyzowana na wielką skalę Ballada o złej i ambitnej siostrze, która zabiła siostrę, szczęśliwszą w ubieganiu się o świetnego narzeczonego — jest w swoim rodzaju arcydziełem widowiska fantastycznego, stworzonego do muzyki. Jeśli naprzykład z „Lilji” Mickiewicza, ballady, nieco pokrewnej „Balladynie”, inny kompozytor Felicjan Szopski musiał dopiero urabiać libretto, ażeby mieć dość materiału pod muzykę, to Żeleńskiego zadanie było poniekąd łatwiejsze: materiału tekstowego miał pod dostatkiem; tekst leżał gotowy z całą najwyższą krasą mowy poetyckiej, z gotowym scenariuszem i wykończonymi psychologicznie i malarsko osobami dramatu. Należało jedynie skrócić go, gdyż jest za bogaty. Wypadało wyrzucić kilku postaci bajecznych, tak ażeby struktura dramatyczna opery była prostszą i przejrzystszą. Dramat muzyczny bowiem, w nowoczesnym znaczeniu tego wyrazu — przyobleka i ujmuje w formę harmonij i melodji tylko rzeczy główne, zasadnicze, przewodnie w danym utworze poetyckim — wszystko zaś, co poboczne i drugoplanowe pomija i usuwa.

Twórca „Goplany” uprościł tedy olbrzymią osnowę nieprzerwanych zbrodni i okrucieństw Balladyny, i stopił akt IV w jedno z aktem V tragedji Słowackiego. Uważał jako muzyk całkiem słusznie, że chcąc wyzyskać muzycznie całość, stworzyłby operę za długą i może nużącą. A nadto zdawał sobie pewnie sprawę z tego, że i bez ogarnięcia wszystkich krwiożerczych szalów heroiny, ma się dostatecznie wyrysowaną jej psychologję, że dość plastycznie występują nurtujące ją uczucia zawiści, obawy, ambicji, podstęp, przebiegłość sumienia, zespolone w jeden motyw główny: fatalność, nieprzeparcie popychającą od jednego skrytobójstwa do drugiego.

To, czego kompozytor nie dopowiedział w samej treści, zostając dłużnikiem poety — to mu wynagrodził przez wspaniałe rozwinięcie piękna fantastycznego „Balladyny” — przez podkreślenie feeryczności ludowo-polskiej i szekspirowskiej jednocześnie, otoczenia przyrody i duchów, oraz przez podkreślenie żywiołu legendowo-baletowego. Ten ostatni szczególnie pięknie i świetnie przemówił w zeszłym tygodniu ze sceny teatru Wielkiego.

W ten sposób na nowo uprzytomniona została społeczeństwu czarująca i straszna historia Balladyny. Sukces muzyczny i teatralny był oczywiście wielki, ale samo uprzytomnienie arcydzieła jest pełne grzechów i skaz. Uczucia nasze wobec warszawskiej „Goplany”, są dwojakie. Cieszymy się, że czarnoksiężski duch Słowackiego ukazał nam to, co jest jego ukrytą, wewnętrzną, istotną i zamierzoną poezją — marzenie i cudowne zjawy — a zarazem żal mamy, iż nie jedno piękno i nie jeden urok zostały stracone. Zaznaczając to, nie tyle mam na myśli krytykę naszych primadon — nie jest to bowiem recenzja muzyczna — ile przestrożę, żebyśmy pamiętali, że „Balladyna” jest w poemacie o wiele czarowniejsza. Należy po prostu, strzedz się uczynienia ujemy oryginałowi „Balladyny”, gdy się jest na operze „Goplana”. Nie trzeba, ażeby ludzie niedoświadczeni w rzeczach literatury, budowali swoje wyobrażenie o dziele Słowackiego — na podstawie niewystarczających estetycznie danych naszej sceny. W operze naszej, zanikła przedewszystkiem cała prarafaelistyczna, wyrafinowana piękność obu siostr: Balladyny i Aliny.

Balladyna bowiem, pomimo wszystkich swoich potworności, jest piękna. Piękno to djablicy, czy czarownicy, ale nie pozbawione majestatu. Jest to zbrodniarka w sensie wielkich drama-

tów i historii Szekspirowskich, ale posiada jakąś czarność melancholji i przepastność własnych myśli. Choć tak podobna do lady Macbeth, i jak ona, zmyć nie może krwawej plamy kainowej na swym czole — o ileż jest piękniejsza od żony Makbeta! Tamta to raczej stara wiedźma, zimna, wyrachowana okrutnica — Balladyna to ofiara namiętnej, gorącej krwi, straszliwa „chłopianka” z pewną królewskością i giestu i zbrodni. Nie budzi ona w nas wstrętu, lecz zgrozę, nie odpycha, lecz zaciekawia. Mamym nad nią litość, że się tak nieubłaganie w przepaść krwawego występku stacza: nie możemy pogodzić jej noży i trucizn, i suczej złości dla rodzonyj matki — z jej wspaniałą pięknością polskiej dziewczyny. I mamy stałą nadzieję, że nastąpi pokajanie się i odkupienie. Jakoż, gdy Balladyna po trupach najbliższych i najbardziej jej oddanych osób — wspięła się wreszcie na wyżyny tronu — i kazano jej sądzić — siebie samą, odpowiedziała: „winna śmierci”.

Był to odruch zbudzonego nagle iście królewsku sumienia i sprawiedliwości i dlatego śmierć Balladyny jest nie taka, jak sobie życzył lud i kanclerz. Lud mniema, że taka megiery — on nie wie jeszcze, że to o Balladynie mowa — powinna być poćwiartowana, kanclerz, że — spalona na węgiel, a tymczasem zabija ją piorun, czyli samo niebo. Nie ludziom tedy, lecz Bogu służy jedynie prawo wykonania sądu i wyroku.

ADAM BRZEG.

Zwierciadło kobiety.

Powieść.

XI.

Z jedną z najświeższych fotografii lry w wytwornej sukni balowej, wyciągniętą z Jej albumu, udał się pewnego wieczoru Szeliga do dyrektora „Café des danses” przy ul. Stanisławskiej. Przedstawił mu się jako redaktor „Dziennika Porannego”, wtajemniczył go w pewne szczegóły śledztwa, pokazał fotografię młodej kobiety i poprosił o informacje, czy kobieta taka bywała kiedy w dancingu i w czyjem towarzystwie.

— Pewnej nocy lutowej nad ranem już, spotkałem tę kobietę, lub bardzo do niej podobną, u bramy pańskiego dancingu. Wyszła wtedy w towarzystwie dwóch mężczyzn, zajeżdżał po nich kryty powóz, młoda kobieta wsiadła z towarzyszami i odjechała. Czy dyrektor nie przypomina sobie kobiety podobnej w swym lokalu?

— Bardzo pana przepraszam, panie redaktorze — rzekł na to dyrektor kawiarniano-tanecznego przybytku — ale ja sam bardzo rzadko jestem na sali. Wyjątkowo, gdy przyjdzie do jakiejś poważniejszej scysji z gośćmi, wzywają mnie do lokalu. Ale niech pan będzie łaskaw spocząć, ja poproszę tu mego dyrektora technicznego, który zawsze jest na sali, oraz dwóch starszych kelnerów, którzy od roku bez przerwy u mnie pracują i zrobimy odrazu próbę, czy oni nie rozpoznają tej kobiety.

Za chwilę zjawili się trzech eleganckich, we fraki odzianych gentlemanów, jeden z nich przedstawił się Szelidze, poczem ten powtórzył swoją próbę, czy panowie ci nie rozpoznają kobiety, której fotografię im pokazuje, a która prawdopodobnie bywała w towarzystwie dwóch cudzoziemców, zdaje się francuzów, w sali tanecznej.

Pokazał im fotografię.

W tej chwili, na pierwszy rzut oka, obaj koledzy spojrzeli na siebie i rzekli prawie równocześnie:

— Pan Gaston de Choderry i jego towarzysze.

A na pytające spojrzenie Szeligi, jeden z nich rzekł:

— Tak jest, panie redaktorze. Ta pani bywała dość często w towarzystwie dwóch bogatych francuzów, jeden z nich nazywał się Gaston de Choderry, był już starszym, siwym człowiekiem, z monoklem. Towarzysz zaś jego był znacznie młodszym, lat około 30, bardzo przystojnym brunet, pono były oficer-pilot armji francuskiej.

— Czy ten drugi nie nazywał się przypadkiem na imię Louis? — zapytał spokojnie Szeliga.

— Tak, tak, Louis, bardzo często słysza-

szalem to imię, gdy starszy mówił do swego towarzysza: „Mon cher Louis”.

— I tę kobietę panowie poznają z całą pewnością?

— Tak, ta pani była zawsze w towarzystwie tych francuzów.

— A czy mogliby mi panowie określić, jak bawiło się to towarzystwo i kim byli ci dwaj panowie?

— O, to byli jedni z najlepszych naszych gości — rzekł dyrektor dancingu. Płacili zawsze bardzo wysoką cenę, za wypite oryginalne wino francuskie, nie rachowali się z groszem, bo cóż to dla nich było przy naszej walucie. Przyjeżdżali zwykle własnym autem, lub powozem. Mówiono, że p. Gaston de Choderry pracuje w ambasadzie francuskiej.

— Tak. A gdzie mieszkali ci francuzi, nie wiedzą przypadkiem panowie?

— Nie. Nie wiemy.

Szeliga wiedział już wszystko, czego się tu dowiedzieć. Podziękował za info i wyszedł z dancingu, dziwnie zgarbiony i przygnębiony. Przysty ostatnie iluzje. Jakis cię niesmaku poczęt odczuwać teraz widząc, że przypadkiem dogrzebał się własnymi dłońmi do jakiejś głębokiej przepaści tajemnic życiowych trojga ludzi i oto musi teraz dobrowolnie prze-głądać całą głąb życiowych komplikacji, musi odsłaniać chusty i całuny, osłaniające zwłoki spoczywającej już w grobie kobiety, musi czytać i odcyfrowywać tajne ruiny jakiegoś dramatu, którego treści nie przeczuwał i nie podejrzewał. Odczuwał przytem przykrą gorzyc i spleen jakiegoś nieuświadomionego zawodu czy rozczarowania, ale raz stawszy się posiadaczem jedynym tej dziwnej tajemnicy, czuł się w obowiązku śledzić ją aż do końca.

Bo problem śmierci lry zgola nie był jeszcze rozjaśniony. Narazie zarysowały się jedynie kontury osób, związanych węzłem konfliktu, owe „dramatis personae”, które odegrały swą mniej, lub więcej wybitną rolę w dramacie rodziny Humanieckich, zakończonym tragiczną śmiercią głównej postaci dramatu.

(D. c. n.)

FRYDERYK M. SMITH.

22)

ZAIRA

(Dokończenie).

(Romans kryminalny marokański).

Przetłum. S. W.

Francuz umilkł i zaczął się namyślać, wiodocześnie słowa te znalazły oddźwięk w jego sercu. Gdy tak siedział zamyślony, niepewny, co ma dalej począć, do pokoju wszedł żołnierz, który poprzednio powlókł na galerię bezwładnego Borroughs'a i usiadł obok Zairy. Siedział na skrzyżowanych nogach, z głową opuszczoną na piersi, jak gdyby go nic nie obchodziło, co się w koło niego dzieje. Tylko Eliza, siedząca po jego drugiej stronie odsunęła się ze wstrętem. Prawdopodobnie zabił Borroughs'a, a razem z nim znikła dla niej ostatnia nadzieja ratunku i wolności. Maurowie nie zwrócili uwagi na wchodzącego towarzysza. Dopiero, gdy po chwili ten ostatni spojrzął dookoła z pod kaptura i wzrok jego spotkał się przypadkowo ze spojrzeniem Savary'ego, blady i trzęsący się francuz zerwał się gwałtownie z krzesła, nie miał jednak czasu ani krzyknąć, ani wymówić słowa, gdyż nagle rozległ się huk strzału i Alfons Savary padł martwy obok Zairy. Równocześnie drugi celný strzał zagasił lampę, pogrążając pokój w najgłębszej ciemności. Powstał nieopisany chaos, dało się słyszeć kilka wykrzykników, kilka uderzeń, wymierzonych na oślep, potem jeszcze jeden strzał i znów okropne przekleństwa w kilku językach. Naraz Eliza, zmartwiała z przerażenia w tym strasznym zamiętaniu, poczuła, iż dwie silne ręce ujmują ją z dwóch stron pod ramiona i że dwie osoby szybko ją wynoszą z pokoju. Czula tylko, że jej nogi dotykają po drodze martwych ciał ludzkich. Zasłona u głównych drzwi została gwałtownie rozsunięta i wpół niesiona, wpół stąpając sama, zeszła ze schodów i przez bramę dostała się na ulicę.

ROZDZIAŁ XVI.

Na skutek polecenia przywódcy, żołnierz ujął za kołnierz bezwładnego Borroughs'a i powlókł go przez pokój na galerję.